

MAGDALENA SZPONAR

Nic nie jest w stanie sprawić, żeby ta dwójka się dogadała.



dumkana

dwa koty



Copyright ©

Magdalena Szponar

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Katarzyna Olchowcy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-252-1

MAGDALENA SZPONAR

**DUMKA NA
DWA KOTY**

RODZEŃSTWO MACH #4

OŚWIĘCIM 2024

Prolog

Nazywałem się Cezary Mach.

Moje nazwisko zobowiązywało.

Żaden Mach nigdy nie zrezygnowałby z tego, co kocha.

Żaden.

Nie mogę stać się wyjątkiem, prawda?

Rozdział 1

Maja

Parę miesięcy wcześniej

Cezary Mach miał pecha.

Serio. Miał pecha, że trafił do mnie w najmniej odpowiednim momencie. Po pierwsze – byłam zła, ponieważ właśnie rozstałam się z kolejnym facetem. Kolejnym, który nie znał definicji słowa „wierność” – może ostatecznie ja też miałam tego cholernego pecha, że wciąż trafiałam na wszelakich dupków. Po drugie, dostałam miesiączkę. Bolała mnie głowa. Brzuch. Plecy. Dusza. Jednym słowem – wszystko. Po trzecie, no naprawdę? Jak można być takim kretynekem...

– Zjadła coś – poinformował mnie, wciskając mi w dłoń nieprzerażliwie piszczącą apatyczną czarną kotkę.

– Zjadła coś? – powtórzyłam jak ostatnia idiotka, unosząc brew.

Bardzo konkretna wiadomość, pomyślałam.

Byłam weterynarzem. Kochałam ten zawód i kochałam zwierzęta. A teraz, kiedy właśnie miałam wychodzić z kliniki – jedynej w tym mieście czynnej do dwudziestej drugiej – przyszedł do niej właśnie on.

Cezary Mach.

Legenda naszej podłej miejsciny, a może i całej Polski. Strażak. Bohater, który... parę lat temu uratował dziew-

czynkę. I tak się składało, że ową dziewczynką była moja siostra. Nie miałam pojęcia, czy teraz o tym pamiętał. W końcu taki bohater ratuje kogoś średnio co trzy dni (czyli tak, jak wypada mu służba). Gdy doszło do pożaru, byłam na studiach. Przyjechałam najszybciej, jak to możliwe, i dowiedziałam się, że jakiś strażak wyniósł Rozalkę na rękach z płonącego domu. Mojego domu. Dzisiaj Rozalia to już upierdliwa nastolatka każąca się nazywać Różą, a ja... no cóż, kochałam ją nad życie.

Jakby tego wszystkiego było mało... moi rodzice i jego rodzice mieszkali dość blisko siebie. Nigdy nie należałam do słynnej paczki rodzeństwa Mach, ale kręciłam się wokół, w końcu ja, Czarek i Dalia chodziliśmy do jednej klasy w podstawówce.

Później nasze drogi się rozeszły, ale przecież wciąż słyszałam o słynnym szatynie z oliwkowymi oczami. Gdyby istniała sprawiedliwość na tym świecie, Cezary miałby rude włosy jak jego bliźniaczka. Chociaż tyle...

Jednak to nie jego włosy czy oczy stanowiły problem, a... cały Czarek. Ten obłądnie, nieprzyzwoicie seksowny facet. Kwintesencja odwagi i pierwotnej męskiej siły.

– Co konkretnie zjadła? – zapytałam, wzięwszy głęboki wdech.

I przy okazji zaciągnęłam się tym irytująco przyjemnym zapachem.

Czułam się źle. Marzyłam jedynie o małym drinku, ciepłym kocu i futerku Bimberka – mojego kocura z odzysku, jak lubiłam go nazywać.

Kiedy patrzyłam w oczy kotki, wiedziałam jednak, że nie mogę zostawić tego maleństwa na pastwę losu. Albo pastwę tego idioty... Nie, kiedy wtulała się we mnie i tak ufnie na mnie patrzyła.

– Mleko – usłyszałam.

Mleko?

Moja brew powędrowała jeszcze wyżej.

– Nie sędzę, by mleko mogło jej zaszkodzić – powiedzia-
łam bardziej do siebie niż do przystojniaka przede mną.

– Nie oczekuję od ciebie sądów tylko działania – warknął
Cezary tuż za moimi plecami, bo właśnie odwróciłam się,
żeby wejść do gabinetu.

Że co, proszę?!

Coś w moim żołądku zawiązało się w ciasny supeł. Ner-
wy. Wiedziałam, że to one. Nie za dobrze sobie z nimi ra-
dziłam, czasami zdenerwowanie powodowało, że wybu-
chałam i niszczyłam wszystko wokół. A czasami po prostu
zamykałam się w czterech ścianach mojego pokoju i łka-
łam do poduszki. Cóż, byłam kobietą. To wiele tłumaczyło,
prawda?

Zignorowałam ten dumny komentarz, po prostu postawi-
łam kotkę na stole i poprosiłam, by przystojniak ją przy-
trzymał. Zrobił to, choć wiedziałam wyraźnie, że chciałby
znaleźć się wszędzie tylko nie tutaj. Cholera, co z nim było
nie tak? W końcu to jego kotka, tak?

Bez pełnego obrazu sytuacji mogłam niewiele zrobić, je-
śli nie chciałam jej jeszcze bardziej zaszkodzić. Zaczęłam
więc drażnić.

– Musisz mi powiedzieć prawdę – mruknęłam, przejmują-
c czarną kulkę, kiedy na dłoniach miałam już rękawiczki.

Mach zrobił się czerwony. Od razu wiedziałam, że coś
jest nie tak. Strzelał oczami na boki, jakby się czegoś...
wstydził?

– Nie wiem, czy mam zrobić USG? Czy mogę podać leki?
Czy może będzie konieczna operacja, na którą, szczerze
mówiąc, dzisiaj nie mam siły...

– Operacja? – mruknął, a jego grdyka zafalowała gwałtownie, gdy przełknął ślinę.

Przez ułamek sekundy nie umiałam oderwać od niej wzroku.

– Jeśli to jakieś ciało obce...

– To nie jest żadne ciało – warknął – ...obce.

I znów uniosłam brwi.

Dobra. Może i bohater, ale najwyraźniej też dupek.

– Co zjadła... – zaczęłam, zawieszając głos, by poznać imię kotki.

– Nalewka.

Parsknęłabym śmiechem, gdyby osobnik przede mną nie zaczął mnie tak bardzo denerwować. Nalewka. Dobrze. A myślałam, że tylko ja mam dziwny gust do zwierzęcych imion.

Drobna anegdota: miałam w życiu cztery koty. Browar, Rum (to było dość kłopotliwe, bo wszyscy szybko zaczęli wołać na niego Rumun), Gin i... Bimber.

No cóż, nie oceniacie, okej?

– Co zjadła Nalewka? – powtórzyłam, opanowując się w ułamku chwili.

– Mleko.

Poprawka: uparty dupek.

– Koty radzą sobie z mlekiem. – O ile jest rozcieńczone i podawane w małej ilości. To, że te zwierzaki powinny dostawać mleko, było jedynie mitem.

– Najwyraźniej ten nie.

Prychnęłam.

Wiedziałam, że coś jest na rzeczy, ale naprawdę nie miałam ani siły, ani nastroju, by użerać się z Machem. Nawet jeśli wyglądał tak obłądnie w skórzanej kurtce i ciemnych dżinsach z przetarciami na kolanach. Nawet jeśli dostawa-

łam palpacji serca za każdym razem, gdy się poruszał, a poły kurtki się rozchyłały, ukazując jego twarde tors oblezony jedynie białą koszulką z całkiem sporym dekoltem.

– Nie pomogę jej, jeśli nie powiesz mi prawdy – rzuciłam.

Nieprawda, pomyślałam też od razu, pomogłabym kotce, choćby nie wiem co.

Cezary odwrócił się na moment, przetarł twarz i przysięgam, powiedział coś w stylu: „Co za uparta baba”.

Zagotowałam się.

– Wypiła śmietanę, okej?! – warknął nagle, biorąc się pod boki.

– Śmietanę – powtórzyłam, patrząc na niego jak na idiotę.

– Być może się pomyliłem – dodał, a zaczerwienienie na jego twarzy postępowało. Teraz zaczynało sięgać już uszu.

Kotka znów utkwiała we mnie wzrok. I już wiedziałam. W jej spojrzeniu wcale nie było ufności. Teraz dostrzegałam w nim niemą prośbę, bym uratowała ją przed tym idiotą będącym najwyraźniej również jej właścicielem.

Westchnęłam i odwróciłam się do szafki z lekami, mrużąc pod nosem:

– Kretyn.

– Słyszałem to!

Ups.

Nagle Mach znalazł się tuż obok mnie, przez co, gdy się odwróciłam, prawie zderzyłam się z jego twardym ciałem.

– Słyszałem to – powtórzył, patrząc na mnie wściekle.

– Co?

– Nazwałaś mnie kretynem.

Zmarszczyłam brwi. Z chęcią przyznałabym mu rację, ale jednak zależało mi na dobrej opinii w mieście. A nie-

stety ludzie ufają strażakom, nawet jeśli ci są dupkami z przerośniętym ego.

– Jakże bym śmiała... – powiedziałam więc z uprzejmym uśmiechem, który nie sięgał oczu. Wzrokiem próbowałam go bowiem zabić.

– Jasne – prychnął.

– Ale jeśli słyszysz głosy – szepnęłam, zbliżając się odrobinię, jakbym wyjawiała mu jakiś sekret – to budynek dalej przyjmuje psychiatra.

– Jesteś...

– ...wyjątkowo cierpliwa. Tak, wiem.

Jakiś dziki odgłos wyrwał się z gardła Macha i już wiedziałam, że nie zrobiłam na nim dobrego wrażenia.

Po prostu więc go ominęłam. Po cichu liczyłam, że dzięki mojej jawnej impertynencji więcej tutaj nie przyjdzie. Zbyt wiele mnie z nim łączyło, choć albo o tym nie pamiętał, albo miał to w nosie. I wołałam, by tak zostało.

Kiedy kwadrans później oddawałam mu Nalewkę, nie spojrzął na mnie ani razu. Nawet nie podziękował. Spytał jedynie, ile jest mi winien, a ja w odruchu skrajnej głupoty, odparłam, że w ramach zapłaty ma się douczyć, jak dbać o kota.

Prychnął, rzucił mi na biurko stówę i po prostu wyszedł.

Odczekałam jeszcze trochę, zanim zebrałam się, by wrócić do domu. Przez całą drogę modliłam się, by więcej nie spotkać Cezarego Macha.

W żadnych okolicznościach.

Niestety miało się okazać, że i ja, Maja Maj, miałam w życiu ogromnego pecha.

Rozdział 2

Czarek

Teraz

Ze snu wyrwał mnie natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Zerwałem się nagle i od razu poczułem, że coś mokrego zalewa mój tors.

– Kurwa – warknąłem i zamrugałem, by odzyskać ostrość widzenia.

Spojrzałem na siebie. Cholera, przysnąłem na fotelu i wylałem na siebie końcówkę drinka. Pięknie. Po prostu pięknie.

Ściągając T-shirt przez głowę, podszedłem do domofonu.

– Pizza – usłyszałem, kiedy wcisnąłem odpowiedni przycisk.

Wpuściłem dostawcę i sięgnąłem po portfel, który – miałem nadzieję – wciąż tkwił w wewnętrznej kieszeni kurtki. Na szczęście był tam i po chwili mogłem już zapłacić za swój dzisiejszy obiad.

Odebrałem dużą pepperoni i zamknąłem drzwi stopą, nawet nie żegnając się z młodym chłopakiem, który z pewnością nawet nie zwrócił na to uwagi.

Chciałem ruszyć ku wyspie, ale widok, jaki ujrzałem przed sobą, gdy uniosłem głowę znad pudełka, po którym przesuwiał się sos, sprawił, że zastygłem w pół kroku.

– Nawet się, kurwa, nie waż – wysyczałem niskim i złowieszczym tonem, ale moja kotka jak zwykle nic sobie z tego nie zrobiła.

Wpatrywała się we mnie i oblizywała łapkę. To samo w sobie nie byłoby złe, gdyby nie fakt, że siedziała tuż obok butelki whisky. Otwartej. Prawie pełnej. Stojącej na wyspie w części kuchennej mojego salonu. Wyspie otoczonej płytkami.

Wyobraziłem sobie ciąg wydarzeń i przełknąłem ślinę.

– Nalewka, tata nie żartuje – wychrypiałem.

I tak, nigdy bym się przed nikim nie przyznał, że nazywam się ojcem kota. Przenigdy.

Jak na zwolnionym filmie obserwowałem ruchy tego durnego zwierzaka. Najpierw wręcz subtelnie dotknęła czarną łapą butelkę, potem machnęła ogonem, a następnie...

– Ty wstrętny pomioście szatana, przysięgam, że...

Huk rozbijającego się szkła rozszedł się echem po całym mieszkaniu.

– Zabiję cię. Przysięgam, że kiedyś cię zabiję.

Nalewka nic sobie nie zrobiła z moich gróźb, po prostu się przeciągnęła, ziewnęła i zeskoczyła z wyspy wprost na stół, z niego na fotel, z fotela na kanapę i ostatecznie skończyła na parapecie, na którym wyłożyła się w promieniach jesiennego słońca.

Westchnąłem, obserwując, jak ruda ciecz rozplywa się między odłamkami szkła.

Ostatecznie musiałem przyznać, że ten wstrętny kot miał rację. Wystarczająco wiele dni spędziłem na rozpijaniu się i myśleniu o tym, co straciłem i już nie odzyskam.

Trzeba się wziąć w garść.

Nawet jeśli zmusza mnie do cholerny kot.

Zanim posprzątałem mieszkanie (przy okazji ogarnąłem resztę syfu, którego narobiłem w ostatnich tygodniach) i wziąłem prysznic, nadszedł wieczór.

Usiadłem na fotelu, a Nalewka, ta zdradziecka szuja, wskoczyła mi na kolana. Sekundę później wybuchnąłem śmiechem.

Chryste.

Był sobotni wieczór, a ja, Czarek Mach, siedziałem z kotem na kolanach i patrzyłem, jak liście wirują za oknem.

Nigdy nie sądziłem, że upadnę tak nisko.

Jakby na potwierdzenie w tej samej chwili rozdzwonił się mój telefon. Leżał na niskim stoliku i nawet z odległości metra widziałem imię na ekranie.

– Czego chcesz, Czips? – zapytałem, odebrawszy.

– Ty i ja. Piwo. Dzisiaj – odparł.

Westchnąłem. Michał już od tygodni próbował wyciągnąć mnie z domu, a ja wciąż się przed tym broniłem. Nie byłem w stanie latać po mieście, skoro prawie na każdym kroku spotykałem ją. Chryste, nawet nie mogłem w myślach przywołać jej imienia.

A to wszystko kompletnie nie zmieniało faktu, że ona wychodziła za mąż za kogoś innego.

– Gdzie? – westchnąłem.

– No i to rozumiem! Co powiesz na Browar?

Nic nie powiem, bo było mi wszystko jedno. Miałem niebawem szczęście spotykać Olę nawet w warzywniaku.

O, i proszę.

W moich myślach pojawiło się jej imię.

I zostawiło po sobie gorzki posmak.

W końcu przytaknąłem i powiedziałem, że widzimy się za godzinę na miejscu. Liczyłem, że akurat w ten sobotni wieczór nie spotkam tam jej. Ani nikogo innego.

Wiedziałem, że Adam i Natalia nie pojawią się na pewno, bo termin porodu wypadł lada dzień, więc mój brat dostawał kociokwiku i dosłownie nie sypiał, by być gotowym w każdej chwili. Wszyscy czekaliśmy na pojawienie się potomka. Vegas i Natka utrzymywali w tajemnicy płeć dziecka, najwyraźniej chcieli nas zaskoczyć.

Z kolei Dalia i Mikołaj dalej byli w sobie tak szaleńczo zakochani, że wydawało się to aż obrzydliwe, a teraz spędzali prawie wszystkie wolne chwile na przygotowaniach do ślubu, który miał się odbyć w... oczywiście, że w święta. Przecież to logiczne.

Bartek i Domi także trwali w swojej bańce szczęśliwości. Po wszystkich perypetiach, które przeszli, zasłużyli na chwilę spokoju.

Więc tak... głęboko liczyłem, że akurat ten sobotni wieczór spędzę w spokoju w towarzystwie piwa i mojego kumpla. To drugie nawet nie wydawało mi się konieczne. Ale skoro chciał...

Wsypałem żarcie Nalewce i pogroziłem jej palcem.

– Zachowuj się albo kupię sobie psa.

Miałem nadzieję, że ta groźba zrobiła na niej wystarczające wrażenie, bo nie chciałem po powrocie (znowu) oglądać swojego mieszkania w stanie jak po trzęsieniu ziemi.

Naprawdę... ten kot ważył może dwa kilogramy, a potrafił siać zamęt jak pieprzona pantera.

Kiedys po prostu wypieprzę ją z domu i po kłopotcie... pomyślałem i podszedłem do niej, by pocałować ją w ten czarny nosek. Zamruczała z zadowolenia, co potraktowałem jako informację, że daje mi błogosławieństwo na dzisiejsze balety.

Dwadzieścia minut później wchodziłem już do Browaru. Miasto dopiero budziło się do nocnego życia, więc nie spotkałem po drodze wielu ludzi. Co uznałem za dobry omen.

Czips czekał już przy barze. Rozsiadłem się i kiwnąłem Izce, barmance, że poproszę to, co zwykle, a następnie ściągnąłem skórzaną kurtkę i zarzuciłem ją na oparcie wysokiego krzesła.

– Co tam? – rzucił Michał, a ja wzruszyłem ramionami.

– Po staremu – mruknąłem i usłyszałem, że mój kumpel ciężko westchnął. I już wiedziałem, że za chwilę powie coś, co mnie niemiłosiernie wkurwi. – Wstrzymaj się, proszę, aż wypiję choć jednego drinka, okej? – dodałem szybko, zanim się uruchomił.

Muszę przyznać, że czekał cierpliwie.

Ale gdy tylko wziąłem ostatniego łyka, zaczęło się.

– Stary, jak długo jeszcze masz zamiar robić z siebie nieszczęśnika?

– Słucham? – Aż się zapowietrzyłem i spojrzałem na niego tak, jakbym chciał go zabić.

– Dobrze słyszałeś. Ja rozumiem, że laska cię wykiwała, choć tak naprawdę nie wiem, do czego między wami doszło, ale, cholera, ile można. Minęło już kilka miesięcy, odkąd Ola wróciła do miasta, a za parę się chajta. Opuść już.

Zanim się odezwałem, policzyłem do dziesięciu.

– Opuściłem – oznajmiłem. – Przecież, kurwa, za nią nie latam.

– No jeszcze tego by brakowało!

Warknąłem. Serio. Z moich ust wydostało się coś potwornie pierwotnego. Czips aż się wzdrygnął.

– Naprawdę wolałbym o niej zapomnieć, uwierz mi – przyznałem po chwili głosem niewiele głośniejszym niż szept. I poprosiłem o drugiego drinka.

– Mówiłeś komuś... o tym?

– O czym?

– O tym, co się między wami wydarzyło.

– Chryste, pewnie, że nie.

Jeszcze tego mi brakowało. Zwierzeń. Ble.

– Może poczułbyś się lepiej.

– Kto poczułby się lepiej? – usłyszałem nagle tuż za plecami głos mojej irytującej siostry.

Zacząłem jęczeć i oparłem głowę o bar. Tylko jej mi tu brakowało.

– Stawiam na to, że Cezary – dopowiedział Strażak Sam.

To przezwisko już do niego przylgnęło w naszej rodzinie. Vegas okazał się nawet na tyle kreatywny, że dodawał do tego epitet, ale ja w końcu musiałem dobrze żyć z Mikiem, bo służyliśmy na jednej zmianie.

– Myślę, że czas się wziąć za naszego chłopaka – stwierdziła moja siostra, kiedy Czips, zdrajca jeden, wyjaśnił jej, jak to cierpię po stracie Oli.

Wcale nie cierpiałem.

Po prostu byłem wkurwiony.

– Możecie ze mnie zejść? – jęknąłem w końcu. – Zaraz się uduszę.

– A gdyby tak nam się Czarek na nowo zakochał? – podsunął Miki, za co posłałem mu takie spojrzenie, że powinien od razu się zamknąć. Na szczęście to zrobił.

– Ej! To świetny pomysł! – krzyknęła Dalia.

– Nie, to... – próbowałem protestować, ale oni się już rozkręcili.

W ciągu chwili ustalili cały plan działania, a ja mogłem jedynie obserwować.

Wolałem tego nie słuchać. Kiedy ich zostawiałem, nawet tego nie zauważyli. Dalka po prostu wpackowała się na

moje krzesło i zaczęła szczebiotać z Czipsem. Zabiję Michała, serio. Myślałem, że to mój przyjaciel, a tak perfidnie mnie zdradził.

Chodziliśmy razem do szkoły strażackiej w Poznaniu i to tam się poznaliśmy, chociaż obaj pochodzimy z Kościerzyny. Szybko się zaprzyjaźniliśmy, tym bardziej że trafiliśmy na tę samą zmianę. Przed ubiegłymi świętami dołączył do nas Mikołaj, z którym od razu złapaliśmy dobry kontakt.

A teraz miałem ochotę ich wszystkich udusić.

Zgarnąłem kurtkę i skierowałem się do drzwi prowadzących do małego ogródka, który o tej porze roku już nie był wykorzystywany przez restaurację mieszczącą się w Browarze.

Stałem tam przez chwilę, odcinając się od hałasu baru wypełniającego się ludźmi. Robiło się coraz później, a ja coraz bardziej żałowałem, że w ogóle tutaj przyszedłem.

Skoro Dalia wpadła na tak dumny pomysł, byłem pewien, że nic nie odwiedzie jej od realizacji. Czyli miałem totalnie przesrane.

W końcu, kiedy chłód zaczął mi się wdzierać pod kurtkę, zawróciłem do wejścia. Ledwie przekroczyłem próg, a wpadłem na jakieś dziewczyny wychodzące akurat z łazienki znajdującej się w tym samym przejściu.

– Prze... – zacząłem, ale wówczas dotarło do mnie, z kim się zderzyłem.

Jeszcze jej tu brakowało.

– Uważaj, jak chodzisz – warknąłem, licząc, że początek przeprosin nie dotarł do tej baby.

– To ty uważaj, jak się zataczasz, dupku – odpyskowała od razu, bo przecież akurat ona nie mogłaby choć raz się przymknąć.

Zmrużyłem oczy i spojrzałem z góry na najbardziej irytującą laskę na całym globie.

Maja Maj.

Cholerna pani weterynarz – jedyna, której Nalewka nie chciała zabić. A przy okazji dziewczyna sprawiająca, że miałem ochotę krzyczeć, ilekroć ją widziałem.

Serio.

W życiu nie spotkałem kogoś równie radosnego. Ona uśmiechała się dosłownie ciągle. Nawet teraz. Obrażała mnie, a na jej cholernie pełnych i czerwonych ustach igrał uśmiech.

– Wiesz co, mądrzejszy ustępuje, więc po prostu...

– Ależ proszę – przerwała mi – prostytutki idą przodem.

I wskazała mi przejście do baru.

Nic z tego.

Założyłem ramiona na torsie, czując, że nagle robi mi się gorąco, choć chwilę temu zaczynałem marznąć. To wina tej upartej zołzy. Rozgrzewała mnie do czerwoności, i to wcale nie w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Dopiero wtedy zauważyłem, że tuż obok nas stoją dwie dziewczyny i przyglądają nam się, chichrając pod nosem. Kojarzyłem je, też chodziły z nami do podstawówki. To Kamila i Marta, przyjaciółki Majki.

Równie irytujące co ona sama.

Mimo to zmieniłem taktykę. Odwróciłem się do nich z uśmiechem i rzuciłem wesoło:

– Cześć, dziewczyny! – Podszedłem bliżej i skorzystałem z ich chwilowej dezorientacji. Pocałowałem je w policzki, na co obie zaczerwieniły się po nasadę włosów. – Kopę lat! Nie widziałem was od dawna w mieście.

– No wiesz... – bąknęła Kamila. – Studia... dopiero wróciłam.

– A ja mieszkam w Gdańsku – dodała Marta. – Przyjechałam na urodziny Majki.

Och, to ta żoźła świętuje urodziny? Niebywałe. Stawiałem, że wykluła się z jaja, jak przystało na prawdziwą zmiję.

– No cóż, miło było was spotkać – zignorowałem tę informację, bo z całą pewnością nie miałem zamiaru składać życzeń Majce. W końcu nie wypadało tak oficjalnie życzyć komuś źle, a na nic miłego mnie nie stać. – Drogie panie...

– Ukłoniłem się teatralnie. – I ty, żoźło... – dodałem, zerkając na Maję, która wpatrywała się we mnie z zaciśniętymi ustami, a następnie minąłem ją i wróciłem do baru w wyśmienitym humorze.

Może jednak ta noc nie pójdzie na marne, pomyślałem, bo starcia z Majką dziwnym trafem za każdym razem poprawiały mi nastrój.

Wszystko się zaczęło, gdy byliśmy dziećmi. Już wtedy nie lubiłem Mai, już wtedy była tak cholernie wesoła, że patrzenie na nią przypominało wpatrywanie się w słońce – raziło. Przez całe swoje życie nie spotkałem nikogo tak bezwarunkowo optymistycznie nastawionego do życia.

Mało tego... odnosiłem wrażenie, że Maję Maj po prostu omijają wszelkie nieszczęścia. Obracaliśmy się w tym samym towarzystwie, więc przez wszystkie lata wiedziałem, co u niej słyhać. Do każdej następnej klasy zdawała z wyróżnieniem. Kiedy poszliśmy do gimnazjum, nasze drogi się rozeszły, ale słyszałem, że tam radziła sobie równie dobrze. Od czasów liceum (wybraliśmy ten sam stary, tak go nazywano, ogólniak) byłem zmuszony obserwować, jak wokół Mai kręcą się wszyscy faceci chcący ją przelecieć albo sprawić, żeby należała do nich. Zresztą dziewczyny także do siebie przyciągała, bo dosłownie każda chciała się z nią przyjaźnić.

Nazywali ją Promyczkciem.

Pasowało. Tylko dla mnie nie była promieniem słońca, a raczej śmiercionośnego lasera.

A to wszystko dlatego, że Maja Maj pałała do mnie jeszcze większą niechęcią co ja do niej. I byłem dosłownie jedynym facetem w całym mieście, którego nie lubiła.

Przyczyny nieznane. Tak po prostu było.

Mijały lata. Maja wyjechała, by studiować weterynarię, a ja wybyłem do Poznania. Wróciłem szybciej od niej, bo moja nauka trwała dwa lata, i rozpocząłem służbę.

Jak dziś pamiętam tamten dzień, kiedy zostaliśmy wezwani do pożaru domu Majów. Jechałem tam z duszą na ramieniu, modląc się, by Majki, ani zresztą nikogo, nie było w środku. Niestety na miejscu okazało się, że czekała na nas jedynie jej mama, pani Asia. Roztrzęsiona i zapłakana tłumaczyła, że jej mąż szuka Rozalki, wtedy już kilkuletniej córki. Kiedy wybuchł pożar, mała się schowała. Nie wahałem się ani przez chwilę; kiedy dowódca wydał rozkaz, wraz z Michałem weszliśmy do środka jako druga rota. Pierwsza parę sekund później wręcz siłą wyciągnęła na zewnątrz pana Jana, który szukał córki.

Później wszystko wydarzyło się dość szybko. Wraz z Czipsem znaleźliśmy Rozalkę... w szafie. Schowała się tam, zobaczywszy płomień, gdy w nocy zeszła do kuchni napić się wody. Uratowaliśmy ją i...

No właśnie.

Później poszła fama na całą Polskę. O strażakach, którzy wyciągnęli z płomieni małą dziewczynkę. Pech chciał, że ledwie opuściliśmy dom, a zarwał się strop, więc niewiele brakowało, byśmy tam zginęli.

Ani ja, ani Czipś nie czuliśmy potrzeby, żeby otrzymywać pochwały za ten czyn. To nasza praca. Tyle.

Komendant sądził inaczej. Na tej historii zbudował niezłą popularność naszej jednostce. Wystąpiliśmy nawet w Dzień Dobry TVN i to była najgorsza chwila w moim życiu.

A pewnego dnia Rozalia wraz z rodzicami przyjechała do remizy. Zaraz po tym, jak z chłopakami przygotowaliśmy zbiórkę na remont ich domu.

Maja nie przyjechała. A była wtedy w mieście.

I wcale, ale to wcale nie wziąłem sobie tego do serca.